

## LUTY

*piątego, poniedziałek*

– Sześć tygodni temu umarła Mama, sześć tygodni – powtarzam półgłosem i wpatruję się w białawą tarczę zegara wiszącego na prawo od okna.

Trzecia dziesięć.

Siedzę w kuchni od przeszło trzech godzin i rozmyślam.

Nie płaczę.

Kiedyś ryczałam o byle głupstwo. O to, że Kukuśka dokuca, że czegoś nie potrafię, że Szymek przeszkadza, gdy są u mnie dziewczyny.

Nie płakałam nawet na pogrzebie Mamy.

Za to Kukuśka tak spazmowała, że aż zasłabła. Szymek pochlipywał, tata był przeraźliwie błądy i drgała mu lewa powieka.

Sześć tygodni temu Mamę przejechał samochód.

Kierowca miał 2,8 promila alkoholu we krwi.

Trzecia dwadzieścia.

Wspinam się po schodach na piętro. Za środkowymi drzwiami znajduje się pokój mój i Kukuśki. Mama nazywała go córusiowym. Dwa kroki do przodu, lampka po prawej stronie. Pstryk! Świeci. Córusiowy w całej okazałości.

Moje biurko i mój tapczan po prawej stronie, Kukuśki po lewej. U mnie normalnie, u niej zawsze idealnie poukładane (nie wiadomo, po kim to ma). Dwie rozsuwane szafy (zawsze w nich za ciasno), dwie biblioteczki, mój ciemnobrązowy kufer z metalowymi okuciami. Dała mi go babcia Marysia. Trzymam w nim szpargały. Swoje Kuka upchnęła w trzech pudłach z Ikei, stojących jedno na drugim.

Jeszcze jest biurko z komputerem. Na monitorze leży malachitowa popielniczka i malachitowy słoń z obtłuczoną trąbą. Młoda wyczytała, w tych swoich kolorowych gazetach, że malachit neutralizuje złe promieniowanie.

Komputer to kość niezgody w naszej rodzinie. Małego interesują wyłącznie gry (im więcej strzelania, kopania, tym lepiej). Kuka godzinami surfuje i mailuje. Ma jakieś trzy przyjaciółki, których nigdy nie widziała na oczy, ale którym namiętnie opisuje swoje i nasze życie. Niech sobie opisuje, skoro lubi taki emocjonalny ekshibicjonizm, ale wtedy nikt nie może się do nas dodzwonić.

Pośrodku pokoju, wzdłuż popielato-beżowego dywanu, jest nasza niewidzialna linia demarkacyjna. Gdy byłyśmy młodsze, rozciągnięte skakanki na podłodze wyznaczały prywatność każdej z nas.

Córusiowy jest duży, jasny, ale gdybym miała do wyboru klitkę bez okien i bez Kukuśki albo superpokój z Kukušką, zdecydowanie wybrałabym klitkę. Młoda jest paskudną współlokatorką. W rankingu (przeprowadzonym wśród znajomych) najbardziej upierdliwego rodzeństwa, bezapelacyjnie zajmuje pierwsze miejsce.

Młoda, jak zwykle, śpi w poprzek łóżka. Rozczochrane ciemne włosy, delikatne rysy, długie nogi, niezachwiana pewność dwunastolatki i parszywa natura.

Uprzytamniam sobie, że chociaż Kuka to dzieciak (obraziłaby się śmiertelnie o to!), bo przecież młodsza ode mnie o cztery lata, to ostatnio funkcjonuje nawet, nawet. Szkoła, angielski, zbiórki, lekcje plastyki. Jest tylko bardziej opryskliwa.

Za to Mały zaczął sikać do łóżka.

Dobiega Szymkowe kaszlenie. Dla mnie kaszel to kaszel. Mama rozróżniała wilgotne, suche, krtaniowe, płytkie, głębokie. Zawijam się szczelnie szlafrokiem i człapię do niego. Paskudna lampka w kształcie Myszki Miki oświetla pokoik (Mały nie pozwala jej gasić w nocy). Wszędzie pełno klocków lego, pluszaków i samochodów.

Mała głowa z krótko ściętymi włosami i lekko odstającymi uszami, chude ramiona osłonięte granatową piżamą i długie

nogi wystające poza krawędź łóżka. Skopana kołdra na dywanie.

Przesuwam ręką po prześcieradle. Mokre. W drzwiach staje tata. Jest całkowicie nieprzytomny.

- Olka, co się dzieje? – Ziewa i mruży oczy. – Szymek chory?
- Zsikany – odpowiadam i wyjmuję z szafy piżamę.
- Poradzisz sobie? – Znowu ziewa.
- Mhm. Ale nie będę zmieniała pościeli. Weź go do siebie.
- A jak tam się zleje?
- To będzie mokro.

Szymek śpi jak zabity. Ani nie czuje mojego przebierania (a wcale nie robię tego zbyt delikatnie), ani tego, jak tata go przynosi.

Wyłączam Myszkę. Po raz pierwszy od sześciu tygodni jest zgaszona w nocy.

Wracam do córusiowego.

Zwijam się w kłębek i nakrywam kołdrą po czubek głowy. Zimno. Usiłuję liczyć barany. Nic z tego. Doliczam do czterdziestego dziewiątego barana, a potem znowu „sześć tygodni temu umarła Mama, sześć tygodni...”

### *jedenastego, niedziela*

Gdy patrzę wstecz i staram się przypomnieć sobie pierwsze tygodnie po pogrzebie, w głowie mam pustkę. Byłam zbyt skupiona na sobie, swoim bólu, a nie na tym, co dzieje się z resztą mojej rodziny.

Za to doskonale pamiętam pogrzeb.

Cały rój krewnych, znajomych, koleżanek obsypał Mamę tonami wiązanek, które nie mieściły się na płycie grobu, nas – najpierw – kondolencjami (tata zapomniał zaznaczyć w klepsydrze, że ich nie chcemy), a potem telefonami, przypominającymi, że zawsze możemy liczyć, że gdyby coś się działo, i że to wszystko takie straszne.

Mniej więcej po trzech tygodniach telefony ustały. Na placu boju pozostały tylko dwie osoby – ciotka Kryśka (starsza

o dwa lata siostra Mamy) i Malwinka – przyjaciółka Mamy (jeszcze z czasów studenckich).

Obie sprawnie zajęły się mną, Kuką, Szymkiem i tatą. Tak, tatą też. Bo ojciec, po załatwieniu wszystkich formalności pogrzebowych i złożeniu dokumentów potrzebnych do uzyskania renty, opadł z sił.

Wziął nawet kilka dni urlopu, które spędził zamknięty w pokoju Mamy.

Początkowo ciotka i Malwinka zaglądały do nas codziennie, potem co drugi, trzeci dzień. Prały, gotowały, sprzątały, przytulały, a potem biegiem wracały do swoich spraw. W końcu wymogły na tacie, żeby porozglądał się za jakąś osobą do pomocy.

Rzeki życia ciotki i Malwinki coraz szybciej wracały do ich wcześniej ustalonych koryt. Za to nasza rozlewała się bez ładu i składu i zaczęła nas topić w swej codzienności.

Szkoła, praca, angielski, lekcje, zbiórki, gimnastyka korekcyjna, Kukuśkowe wybuchy płaczu, Szymka nocne sikanie, ciągłe pytania o Mamę, kiedy wróci, czy ją bolało, gdy umierała, i strach, że zaraz umrze tata, skoro jest starszy od Mamy o trzy lata. Ja nadal nie mogłam sypiać i nocami łąziłam po domu.

Tata postarzał się o kilka lat, jeszcze bardziej zamknął w sobie i chwilami się go bałam. Ożywał tylko w niedzielę. Zabierał nas na pizzę, a później szliśmy do Mamy.

Tak jest i dziś. Była pizzeria, potem bukiet róż i ciemna płyta grobu.

Teraz siedzimy w samochodzie.

Nie rozmawiamy.

Jeżeli już ktoś się odezwie, to raczej mówi coś zdawkowego, że korki, chociaż już późno, że ten z prawej w opłu to palant, że jutro znowu zaczyna się kierat, i że Szymek niepotrzebnie włąził do kałuży.

Nie lubię niedziel.

Często chodzę sama do Mamy, ale aż mi skóra cierpnie, gdy idziemy tam wszyscy. Szymek zawsze płacze, ojciec go upomina, jakieś babcie nam się przyglądają, a jedna, taka w zielo-

nym płaszczu, traktuje nas jak swoich dobrych znajomych. Wita się, pożycza zapałki i prosi, żeby jej przynieść w butelce wodę z cementarnej pompy. Nazywamy ją Pompową Staruszką.

Dom sprawia wrażenie, jakby przed chwilą wybuchła w nim bomba. Zwały porozrzucanych butów pod wieszakiem, w kuchni brudne naczynia ze śniadania (wyszliśmy dosyć wcześnie), w dużym pokoju kosz z wypranymi ubraniami, na stałe już rozłożona deska do prasowania, zabawki Szymka, i wszędzie, gdzie tylko okiem sięgnąć, rzeczy nie na swoich miejscach. Na górze, w pokojach niezasałane łóżka i podłoga do umycia, bo Małemu rozlał się sok.

Jak to możliwe, że Mama dawała sobie z tym wszystkim radę? Przecież jeszcze pracowała w szkole i dawała korepetycje z matematyki.

Jak to możliwe, że nasza czwórka nagle tak zaczęła bałaganic? Za życia Mamy nikt by nie poszedł do szkoły, zostawiając rozbebeszone łóżko, talerze po śniadaniu na stole w kuchni, czy brudne skarpetki rzucone w kąt łazienki.

„Kota nie ma, myszy harcuja”, złości się ciotka Kryśka, gdy przychodzi do nas i próbuje zapanować nad bałaganem i nad naszym niefrasobliwym do niego stosunkiem.

Mam szczerą ochotę wskoczyć do łóżka, nakryć się kołdrą i nie myśleć o tym, że pod marmurową płytą, w tej chwili ozdobioną różami, leży Mama.

Nic z tego.

Wiem, że w szkole skończył się mój okres ochronny. Cóż znaczy prawie dorosła uczennica, która straciła matkę, wobec trzech narkomanów z IV b, nakrytych przez policję w jednym z mieszkań, czy ciężarnej uczennicy z III c?

Muszę jeszcze skończyć matematykę, poprawić ćwiczenie z angielskiego i doczytać o Słowackim. Na początek postanawiam uporać się z matką.

Szymek, jak to on, nieprzeciętnie długo marudzi przy zdejmowaniu kurtki, butów, potem szuka pantofli, czerwonego resoraka, a na koniec utyka w toalecie. Ojciec w tym czasie już dawno zmienia pilotem programy w telewizorze. Kukuśka gdzieś dzwoni. Ledwo kończy, telefon piszczy. Odbieram.

– Olusiu, to ty? – poznaję głos ciotki – Gdzieście byli?

– U Mamy.

– No tak. Ciągle się do niej wybieram, tylko jakoś nie mogę znaleźć czasu. Nie przyjdę do was jutro. Mam kurs BHP, potem wywiadówkę u Agnieszki.

– A Malwinka?

– Ma grypę. Na własne życzenie. Tyle razy powtarzałam jej, żeby się zaszczepiła, ale ona woli wydać na krem niż na szczepionkę. – Głos wibruje oburzeniem.

Ciocia, w przeciwieństwie do Malwinki, uważa, że kobieta stworzona jest tylko po to, by być matką i gospodynią domową. I do tego wcale niepotrzebne są jej modne bluzeczki czy kremy z koenzymami.

Zdaniem ciotki Malwinka zmarnowała sobie życie. Bo co to za życie rozwódki z dwoma dorastającymi synami? Na przekór mniemaniu ciotki Malwinka jest wyraźnie zadowolona z tego „zmarnowanego życia”. Synów trzyma krótko, chodzi do kina i teatru, ma siwowatego narzeczonego, który zwraca się do niej per „Malwisiu”.

No i kupuje kremy.

Co do mnie, to Malwinkę lubię, ciotka mnie denerwuje i zawsze w jej obecności czuję się niepewnie.

– Słuchasz?

– Mhm.

– To z obiadem tak, jak mówiłam. Trzeba zrobić pranie, przynieść pościel z magła. – Ciotka tłumaczy coraz mniej cierpliwie, ja przytakuję, ale gdyby trzeba było coś powtórzyć, nie potrafiłabym. – Przyjdę z końcem tygodnia. Pa.

– Kto dzwonił? – pyta tata.

– Ciotka.

– Co chciała?

No to mówię. Na ojcu ta wiadomość nie robi większego wrażenia.

– Zaprowadzę Szymka do szkoły, Kasia go przyprowadzi, a ty zajmiesz się obiadem. Aha, po drodze zrób jakieś zakupy – zarządza i szura gazetą.

Po co komu te równania kwadratowe? A co gorsza, wygła-

da na to, że wcześniejsze zadanie zrobiłam do bani. I kiedy tak usiłuję się skupić, do pokoju wchodzi Młoda. Coś tam przekłada na swoim biurku ozdobionym kasztanami (wytwarzają zdrową aurę), figurkami słoni i mówi:

– Może teraz kolacja, co? Skończysz potem.

– Daj mi spokój... – Jak ona może ciągle myśleć o jedzeniu?!

Ledwo wyszliśmy z cmentarza, przywaczyła obskurną budkę z hot-dogami i oczywiście tata kupił jej jednego. – Albo chodźmy. – Przeciagam się.

Najszybsze, a przede wszystkim najprostsze, są kanapki. Mechanicznie kroję chleb i smaruję masłem. W głowie mam pustkę. Do kuchni wchodzi tata, po nim zaraz Szymek. Na twarzy ma nadal rozmazany katar.

– Gdzie są moje czyste koszule? – pyta tata i sięga po butelkę mineralnej.

– Chyba w szafie.

– Nie ma.

– Może w pralni, w koszu.

– Poszukam. – Wychodzi z kuchni.

– Pani powiedziała, że jutro muszę mieć akwarele, a stare już się skończyły – mówi Szymek. – A sklepy już pozamykane.

– Nie mogłeś o tym powiedzieć wczoraj? – warczę.

– Zapomniałem.

– Z takiego zapominania to są minusy – warczę dalej.

Do kuchni wpada Kukuśka. Spogląda na stół, a potem otwiera lodówkę.

– Nie ma żadnego sera! Co będę jadła? – wrzeszczy.

– Jajka – odpowiadam.

– Jest tylko jedno! A co z jutrzejszym śniadaniem? Przecież nie mogę pójść głodna do szkoły! – wścieka się moja siostra-wegetarianka.

– Co z moimi farbami? Jeszcze naboje mi się kończą – marudzi Szymek.

– Nie ma koszul! – krzyczy tata z pralni.

Nie wiedzieć czemu, każde z nich kieruje swoje pytania i żale do mnie.

– Unimarket jeszcze czynny – wtrąca Szymek.  
– Nikt cię nie pytał! – wrzeszczy Kukuśka.  
– Kończcie kanapki – mówię, jak gdyby nigdy nic, i ruszam do pralni nastawić pralkę.

Parę minut po dwudziestej trzeciej Kuka i Szymek nareszcie śpią, ojciec tkwi przed telewizorem i ogląda film o ludziach porywanych przez UFO, a ja ziewam nad angielskim. Spać mi się chce coraz bardziej, więc postanawiam matkę przepisać jutro od Majki, a *Kordiana* przekartkować na przerwach.

– Już późno – szepcze tata, stając w drzwiach. Z dużego pokoju dobiegają odgłosy reklamy fanty. Podchodzi do Kuki i poprawia jej kołdrę. – Kończ.

– Już zaraz.

– Dobranoc. Śpij spokojnie.

Łatwo powiedzieć.

### *dwunastego, poniedziałek*

Budzik ćwierka. Otwieram oczy. Siódma dwadzieścia. Jezu! Pomyliłam się wczoraj. Miałam nastawić na szóstą dwadzieścia. Kuka jeszcze śpi.

– Pobudka! Pobudka!

Wyskakuję z łóżka, łapię ubranie i wybiegam z pokoju.

I szok! Na korytarzu stoi ziewający Szymek.

– Co tu robisz? – pytam głupio.

– Idę siku.

– A tata?

– Już poszedł. Słyszałem, jak wychodził. – Staje przy muszli. Tego nie przewidziałam.

– O której zaczynasz lekcje? – panikuję.

– A co dziś jest? – Zamknął klapę i teraz myje ręce nad wanną.

– A co może być po niedzieli? – nie wytrzymuję. – Środa?

– No, poniedziałek – odpowiada szybko. Chwilami mam wrażenie, że się mnie boi. – Na dziesiątą czterdzieści.

A ja na ósmą. Już wiem! Kukuśka odprowadzi Małego do

światlicy. W poniedziałki ma na dziewiątą czterdzieści pięć. Na szczęście ich szkoły są blisko siebie.

– Leć się ubierać, ale już. I przestań wreszcie ziewać. – Wypycham go z łazienki.

Dosłownie po sekundzie ktoś puka.

– Czego? – Kończę się namydlać.

– Pospiesz się! – miauczy Kuka.

– Idź na dół! – krzyczę.

– Chcę się umyć, a nie siku!

– Które bojówki? – pyta Szymek.

– Jakie znowu bojówki? – Splukuję się w tempie ekspresowym.

– No... Te stare. Założyć je?

Już mam wrzasnąć, że siedmioletni chłopak mógłby sam rozwiązać ten trudny problem, które spodnie wybrać, ale Mały dodaje, że przecież najpierw Mama przygotowywała mu ubranie, a ostatnio ja. Robi mi się głupio.

– Zaraz przyjdę. Poczekaj.

Wciągam ciuchy na wilgotne jeszcze ciało. W lustrze moja twarz i Mamy niebieski szlafrok wiszący na ścianie. Odwracam wzrok od lustra.

Dokładnie wiem, jak wyglądam.

Nic nadzwyczajnego. Mały nos, małe uszy i małe piersi. Długie włosy i długie nogi. Cera jasna, włosy ciemne, oczy zielone. Ogólnie szarość i nijakość.

Kukuśka nadal marudzi pod drzwiami, że spóźni się przeze mnie i że powinnam obudzić się wcześniej, żeby nie blokować teraz łazienki.

Zła jak osa wyskakuję na korytarz.

– Odprowadzisz Szymka do szkoły.

– Nie mogę. Umówiłam się z dziewczynami w sprawie gazetki.

– Nie zdążę – jęczę. – Pierwszą mam fizykę. I kartkówkę. Nie mogę się spóźnić.

– To niech idzie sam. – Wzrusza ramionami.

Szymek siedzi półgoły na dywanie i składa klocki lego. Na biurku piórnik, porozrzucone kredki i kilka zeszytów.

– Patrz, jaki pojazd! – Szczupłą buzię rozjaśnia uśmiech.

– Zgłupiałeś? Nie masz rozumu? Zaraz musimy wyjść. Wszystko na mojej głowie, a ty mi jakieś pojazdy każesz podziwiać? Pakuj się i ubieraj, raz dwa!

Parę minut po ósmej Szymek kończy jeść kanapkę, popijając ją mlekiem wprost z kartonu.

– Idziemy, idziemy już, pospiesz się – poganiam go bez przezwany.

– Muszę do toalety.

To mam piętnaście minut z głowy. Za pięć dziesiątą wypycham Małego do jego szatni.

– Nie mam akwarel.

– Trudno.

– Dostanę minus.

– Trzeba było pamiętać. Wieszaj worek.

– A Mama zawsze dawała mi kanapki – niespodziewanie zaczyna płakać – i wodę.

Zamykam oczy, żeby nie widzieć szczupłych, zgarbionych pleców i ramion trzęsących się od płaczu. Szymek szlocha coraz rozpaczliwiej.

– Idź do świetlicy. Przyniosę ci farby i coś do jedzenia.

– Naprawdę?

– Mhm.

– A pędzel też mi kupisz?

– Duży czy mały? – Rękawem kurtki wycieram mu mokre policzki i nos.

– A mógłbym dwa?

– OK.

Pomagam mu założyć nad podziw ciężki tornister, a potem odprowadzam na pierwsze piętro, do świetlicy.

Najbliższy papierniczy jest na Wiślniej. Po drodze kupuję kartonik soku i rogała z czekoladą. Forsy starcza na farby i mały pędzel. Potem pędem do świetlicy. Szymek z kilkoma szczerbatymi kolegami przegląda album z kolorowymi stworzeniami.

– Masz – sapie. – Kuka przyjdzie po ciebie.

– Ooo! Z czekoladą? – cieszy się. – Mój ulubiony.

– Patrz, to psajdak! – woła w zachwycie jeden ze szczerbuli, dziobiąc palcem w obrazek. Jasnobrażowy stworek z wielkim żółtym dziobem. Coś pośredniego między dziobakiem a kaczką.

Szymek mi macha i dołącza do kumpli.

Do szkoły docieram w połowie chemii. Fizyka i zapowiedziana kartkówka należą do zamierzchłej przeszłości. Leżą na półce opatrzonej napisem „będą z tego kłopoty”.

– Przepraszam – dyszę, wpadając do klasy.

Chemiczka, młoda i szczupła, odkłada kredę, wyciera palce chusteczką wyjętą z kieszeni dzwonów.

– Korki? Czy zepsuty budzik? – pyta.

– Raczej zwykle życie – mruczę pod nosem, siadając w ławce obok Majki.

Czuję się podle, a przecież dzień dopiero się zaczął.

– Aleksandra, nie dosłyszałam. Jeszcze raz, tylko głośniej. Wstawać nie musisz.

Jestem spocona, zła, obrażona na cały świat, a najbardziej na tę parszywą Kuke.

– No?

Zaciskam zęby.

Wiem, co powinnam. Powinnam powiedzieć prawdę. Że musiałam odprowadzić młodszego brata, a potem uciekł mi autobus. Ale nie mam odwagi. Wolę się skulić i czekać, aż to się skończy.

A w ogóle nie lubię chemiczki. Denerwuje mnie, że siada na ławce, że zwraca się do nas przezwiskami, że jest taka, jaką ja nigdy nie będę. Pewną siebie młodą kobietą.

– Jej umarła mama – mówi ktoś zduszonym szeptem za moimi plecami.

Odwracam się błyskawicznie. Który to kretyn? Który? Pawłowski czy Sierdel?

– Siadaj, Aleksandro. Przerwałaś nam.

Chemica odwraca się do tablicy i pisze wzory. Na policzkach mam rumieńce. Czym prędzej pochylam się nad plecakiem.

Boże, czemu na świecie są tacy gruboskórni kretyni?

\*

To tylko początek dzisiejszej katorgi. Na polskim wychodzi na jaw, że nie znam *Kordiana*, więc w dzienniku przy moim nazwisku pojawia się pała, a później w szatni okazuje się, że gdzieś zgubiłam polarowy szalik.

W parszywym nastroju wracam do domu. Nastawiam radio i nieruchomieję w fotelu. Niby nic się nie wydarzyło, bo jedynka to dla mnie nie pierwszozna, a mam szczerą ochotę powiesić się.

Uświadamiam sobie, że nie mamy obiadu. Zwlekam się do kuchni. Mrożonka do garnka. To brązowawe, pomarszczone, to chyba pieczarki. Woda, kostka rosółowa i pół łyżeczki soli.

Piszczy telefon.

– Państwo Winnicy?

– Tak.

– Dzwonię ze świetlicy. Już jest wpół do piątej! Świetlica czynna jest do szesnastej.

– Nie rozumiem...

– Szymek nadal tu jest.

A to małpa z tej Kukuśki!

– Bardzo przepraszam, siostra miała przyjść po niego... Będę za piętnaście minut.

Gruba świetliczanka wysłuchuje jeszcze raz moich zziających przeprosin. Rozumie, ale chce, by inni zrozumieli, że ona też ma dom. I że bardzo, ale to bardzo się śpieszy.

Całą drogę Mały zamęcza mnie opowiadaniem o pokemonach. Mam serdecznie dość słuchania o ewolucjach, rodzajach i o tym, co który potrafi. Z ulgą wchodzę do domu. Bałagan wszechobecny, a Jopek tak wyje, że aż szyby dzwonią.

– Zapomniałaś wyłączyć zupę – mówi Kuka. – Dobrze, że wróciłam i dolałam wody.

– Przycisz! – nie wytrzymuję i wrzeszczę.

– Oj, zaraz. – Znika w córusiowym.

– Nie odebrałaś Szymka! – Idę za nią. – Szymek, rozbieraj się i do lekcji! – krzyczę.

Kuce rzednie mina. Ale tylko trochę i nie na długo.

– Każdemu może się zdarzyć. Za to uratowałam zupeł.

– Głodny jestem – odzywa się Szymek.

Chrobocze klucz w zamku. Wchodzi tata, trzymając przed sobą firmowe pudełko „Cracovii”.

– Na deser – mówi. – Kremówki. Coś się stało?

– Nie odprowadziłeś Szymka, nie zostawiłeś pieniędzy – odpowiadam.

– Przypomniałem sobie o tym dopiero w południe. – Ojciec wiesz płaszcz, a Szymek obwąchuje pudełko. – Ale byłem pewny, że moje córeczki sobie poradzą.

– Ja uratowałam zupeł, bo Olka naląła za mało wody!

– Dzielna dziewczynka. – Tata cmoka Młodą w czubek głowy. – Można na tobie polegać. Właśnie... Olusiu, nie przygotowałaś mi koszuli.

Patrzę na tatę. Ciemne spodnie, ciemna marynarka i granatowa sportowa koszulka z kołnierzykiem. Średnio to wygląda.

– Przepraszam.

– Tylko dziś nie zapomnij – odzywa się małpa-Kukuśka.

– Właśnie – przytakuje tata. – Co na obiad?

– Zupa i frytki. Znalazłam je w zamrażalniku – mruczę. – Potem trzeba iść do sklepu. Lodówka pusta.

Po obiedzie i kremówkach przygotowuję listę zakupów. Jest tak długa, że ojciec postanawia jechać do Tesco, a wcześniej do bankomatu. I proponuje Szymkowi, żeby z nim pojechał, bo mężczyźni muszą trzymać się razem.

Zamykam za nimi drzwi i idę do córusiowego. Kukuśka siedzi przy swoim biurku, w uszach słuchawki.

– Ej, chcę porozmawiać – mówię.

– No? – Wylacza walkmana, co biorę za dobrą monetę.

– Przegięłaś dzisiaj z Szymkiem.

Od razu nastrosza się.

– Ale uratowałam zupeł.

– Rób to, co zostało wcześniej ustalone!

– Nic nie ustalałam. Tylko ty i tata.

Mam szczerą ochotę wytargać ją za kudły. Szczeniara zachowuje się tak, jakby zjadła wszystkie rozумы. I jak pogardliwie się odzywa!

- Kuka, tak nie można. Musimy jakoś przeżyć. Razem.
- Ja uratowałam zupeę. Bylibyśmy głodni – mówi beznamiętnie i wsadza słuchawki w uszy.

### *dwudziestego drugiego, czwartek*

Boli mnie każdy miesiąc, każda kość. A w głowie szum.

Nie mogę sobie z niczym poradzić. Z sobą, z domem, ze szkołą.

Doba ma za dużo godzin na rozmyślania, a za mało na to, bym mogła zorganizować nam jako tako życie.

Dom...

Co innego sporadycznie ugotować zupeę, usmażyć kotlety, nastawić białe pranie, wyprasować koszule dla ojca, a co innego jednocześnie pamiętać o tych stu tysiącach rzeczy, bez których nasze życie kuleje.

Szkoła...

Lekcje, referaty, lektury, zadania. Jak mam skoncentrować się nad wielomianami, romantyzmem i jamochłonami, gdy jestem zmęczona robieniem zakupów, gotowaniem obiadów i świadomością, że zaraz powinnam brać się za kolację?

Zapominam o tym, że trzeba kupić masło, że skończyło się mydło, że w toalecie na dole wisi nieświeży ręcznik, który trzeba koniecznie wymienić, że dwa dni temu miałam przygotować referat z geografii o glebach, że trzeba popilnować Szymka, gdy kreśli te swoje koślawe literki, że czas oddać taty spodnie do pralni, że jasne rzeczy powinny być już dawno wyprasowane, a ciemne wyjęte z pralki.

Dużo tego.

Mogłabym robić wszystko, gdyby ktoś, krok po kroku, mną kierował. Zrób to, a teraz to...

Przykład?

Proszę bardzo.

Dzisiaj... Po lekcjach pędem do domu. Przecież trzeba zrobić obiad. Ziemniaki już się gotują, gdy zauważam, że pokój na dole trzeba koniecznie odkurzyć. Ktoś pogniótł na dywanie

paluszki. Odkurzam, gdy raptem przypomina mi się, że muszę nastawić pralkę. Ale jak ją nastawić, kiedy w bębnie tłoczy się uprana wczoraj pościel? Gdy wyciągam poszewki i prześciera-  
dła z poszwy (jak one tam wlażyły?) w domu rozchodzi się swąd przypalonych ziemniaków.

I tak do wieczora. Im późniejsze godziny, tym jestem bardziej zmęczona i bardziej zła.

Zaraz będzie północ.

Nie mam siły do życia i nie mam lekcji na jutro. Podobnie było wczoraj i przedwczoraj. Więcej przepisuję, niż sama robię. *Kordiana* nie przeczytałam, tylko korzystałam z bryków. Jutro w szkole będzie trudny dzień.

Nawet nie mam siły się myć.

Rzucam dzinsy na podłogę. W koszulce i majtkach wślizguję się do łóżka.

Kuka nie śpi. Czyta ostatni numer „Dziewczyny”.

Patrzy na mnie z potępieniem.

Zazdroszczę jej, że o tej porze ma siłę cokolwiek wyrażać wzrokiem.

Ja nie potrafię zapanować nad opadaniem powiek.

Zasypiam od razu.